

JÓZEF LASOŃ.

## KWATERA Nr. 150.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

2

Zrozumiał to Węgier, i aby dobitniej zaznaczyć o co mu idzie, uderzył Godzika po ramieniu, mówiąc: — Erste osioł, — na Weisa znów pokazując, dodał — drugi osioł!

Zaproponował potem, aby się z nim mocować. Rozłożono koce na podłodze, do walki stanęli: Węgier z Zarzyckim. Przez kwadrans walka prawie trwała, lecz nie została rozstrzygnięta. Zwinny był nadzwyczaj, pomimo, że bardzo silny nie był, tak, że nikt nie mógł mu dać rady. Po odpoczynku zaproponował walkę na pięści.

Wypoczywający Jelonek, obywatel z okolic Ludwinowa, zerwał się, podkasął rękawy do góry i w wyzywającej pozie stanął w pośrodku sali. Madziaro błyskawicznym ruchem zrzucił bluzę, kamizelkę, pozostał tylko w koszulce do gimnastyki.

Ułożyli się o warunki walki, tak, aby się nie uszkodzić przy tej walce pokojowej.

Godzik na palcach zaświstał, bagnetem po trzykroć uderzył o menażkę i igrzyska się rozpoczęły.

Zwinny Madziaro nagina się ciałem, nieustannie godzi pięściami w Jelonek, który flegmatycznie prawie odpięra ataki i powoli przechodzi do „ofensywy”. Kilkakrotnie zwycięstwo przechylało się to na tę, to na drugą stronę, wkońcu Madziaro, ugodzony pięścią w piersi, przewrócił się na leżące pod ścianą sienniki.

Herold zaświstał ponownie, walka została ukończoną. Zwycięscy podano nagrodę: w menażce herbatę z rumem, którą wypili do spółki ze zwyciężonym.

Madziaro śmiejąc się, kiwa głową, pokazuje potężne mięśnie Jelonka, tłumacząc się, że przemęczony był i dlatego padł.

Z rozmowy wyrwał nas głos kwatermistrza:

— Baczność!

Z komendy placu obywatel Pochmarski przyszedł, odczytał wezwanie brygadiera Pilsudskiego, wzywającego żołnierzy do zgłaszania się do pułku. Potem przemówił od siebie parę słów serdecznych, zachęcając, by ktokolwiek czuje się na siłach, podążył w szeregi, gdyż pobity wróg cofnąć się musiał z pod ukochanego grodu, polskiego Krakowa.

— Hurra! — zawołali, przejeżdżając tymi słowami.

— Gdzie się zgłaszać? — poczęli się pytać.

— Jutro przed lekarza. Kto zdrowy, do szeregu, kto chory, trudno, na to niema rady.

Do późnego wieczoru gawędził z nami. Czuli i myślał tak, jak i my, choć wyraźnie tego nie zaznaczył. Pożegnaliśmy go serdecznym słowem.

O ósmej godzinie Berek przeprowadził apel, odczytał rozkaz komendy głównej, poczem wyciągnięto słomę i sienniki, aby legowisko porządnie sobie usłać. Drzwi z hałasem otworzyły się i weszło kilku Pilsudczyków.

— Hej, obywateli! Będzie tu miejsce na nas!?

— Ano będzie! Chodźcie!

— A nie łązi tu słoma? — pytali się — bo na tamtej kwaterze koło pieca się położyłem, rano wstaję, patrzę, jestem koło drzwi. Klęę tedy na tego, co mi ten figel zrobił, patrzę jednakże, dalej jadę. Co to jest do cholery — myślę sobie — przecież sienniki nie tramwaj, ani automobil, żeby im jechać na nim mógł. Podglądam pod spód... a tu wszy... jak konie... pchają mnie z siennikiem ku drzwiom.

— Ha... ha... ha... — rozlega się śmiech na sali.

— Całe szczęście moje — kończy wesół gość — żem się obudził na czas. Inaczej wyjechałbym z siennikiem na ulicę.

— U nas bezpiecznie — zapewniają go głosy.

— Aha, bo u was pewnie „ewakuacja” — śmiał się — gości pod gardło i wynosi się bracie z „twierdzy”. Bez względu, czy potomstwo tam zostawia, czy nie. Ale i ja muszę zrobić w koszuli „ewakuację”, bo mnie coś łaskocze po sumieniu!

Wieczorem rozpoczynało się dopiero właściwe życie kwatery. Przez dzień rozchodzili się po mieście, w wieczór na legowisko przychodzą. Co chwila do drzwi ktoś zapuka, z kartką się zgłasza z komendy na kwaterę. Ale kwatera zazwyczaj przepełniona. Z I., II. i III. pułku napływają żołnierze, zatrzymują się dzień, dwa, poczem albo do szpitala, albo przed superrewizję lekarską idą, lub też po pewnym cza-

sie wracają do pułku. Kwater tych było w Jabłonkowie kilka, oprócz szpitali, które, przyznać trzeba, nadzwyczaj starannie i czysto były utrzymywane, tylko do nich trudno było się dostać, gdyż tylko ciężko chorych i rannych Legionistów tamże umieszczano.

W tenże wieczór niebawem było przepełnienie w starym sądzie. Zamiast trzydziestu dwóch, jak przepisowo miało być, było już o dziewiątej godzinie wieczorem około czterdziestu pięciu, a jeszcze co chwila pukał ktoś do drzwi, lecz nadaremnie, bo już miejsca na stanie nie było, a cóż dopiero mówić o położeniu się wygodnym.

Rozcielono słomę na podłodze, poszczególne miejsca zajmowali żołnierze, poczem obliczono, wielu jeszcze zmieścić się może.

W kącie pod piecem, przy świecy naftowej, na tornistrze żołnierz pisze list, niezgrabnie ciągnąc ręką ołówkiem po papierze, zamyśla się głęboko.

Pod oknem grają w karty dwaj kawalerzyści, wywijają i uderzają kartami o podłogę z takim zamachem, jakgdyby płazowali nieprzyjaciół.

Madziaro koło mnie spoczął, wdaje się ze mną w rozmowę, której ciekawie inni się przysłuchują. Trochę na migi, trochę łącząc wyrazy polskie z niemieckimi i węgierskimi, prowadzimy jako tako rozmowę.

— Morgen, menażka, nach Budapeszt si... si... — (co oznacza, że jutro popołudniu jedzie do Budapesztu), wywija rękami, pokazuje ręką na południe.

Jednakże przez kilka dni ciągle zapewniał, że morgen, menażka i t. d., jednak stale siedział na kwaterze. Pytany o przyczynę tłumaczył:

— Nema menażka, nema mundur, nema marszruta, i... nema fahren.

Z takiego powiedzenia dowiedzieliśmy się, że ma brata także przy Legionach, a on jest szoferem przy sztabie III. pułku.

Rozmowę przerywa nam przybycie świeżych żołnierzy. Dwóch Legionistów i jeden żołnierz austriacki od saperów. Niema ich już gdzie ulokować. Jeden z Legionistów, to stary wiarus, Królewjak, który przeżył wojnę rosyjsko-japońską, do Legionów wstąpił w Kielcach. Przyjechał obecnie z Węgier, nowinki świeże przywiózł. Pytania idą jedno po drugim, co go wreszcie zniecierplawiło i rzekł:

— Dajcie mi spanie, pokażę wam coś!

Pod piecem ściśnięto żołnierzy, zrobiono miejsce dla wiarusa.

Zdjął mundur, poczem wyszukawszy coś w plecaku, zwrócił się ku nam:

— Na pamiątkę z Węgier przywiózłem sobie okazy.

— Jakież?

— Oto mam w tej flaszczyce.

Mówiąc to, podniósł małą flaszczykę, do połowy napełnioną płynem. Ciekawi, drepzcząc po głowach śpiących, którzy przebudzeni, siarczyście poczęli wyśmiał, otoczyli kołem wiarusa.

— Wiecie, co to jest?

— No!?

— Tu są wszy, które wyłapawszy na Węgrzech w bieliźnie, na pamiątkę włożyłem do spirytusu. Patrzcie, jakie duże, jak muchy.

— A bodaj was — wymyślają żołnierze — po toście nas do siebie wołali. Już my większe mieli i widzieli.

Chichot z „dziadzia”, co wszy nałapał do flaszczyki. Weiss, trącając Liszkę w ramię i śmiejąc się, mówi:

— Ty, słuchajno! Dziadziu ma spirytus, napij się, tyś amator trunków!

Ale Liszka zaraz się odzera:

— Zgryź te orzechy, co tam pływają, to ja spirytus wypiję.

Poczynają „dziadzia” z flaszczyką nabierać. Nawet Sciwiarski, zwany żartobliwie „ondynarsem”, wystawia głowę z pod koca i dowcipkuje:

— Dziadziu muzeum zakłada! A tu by także ładne okazy zebrał!

Koło dwunastej w nocy, wpada z brzękiem kajdan dyabeł, z mieczem anioł i siwiutki Mikołaj, z przyprawioną brodą z konopi. To żołnierze garnizonu urządzili obchód Mikołaja, naostatek po kwaterach obchodząc.

Przy stole oparty łokciami drzemał jeden ze spóźnionych żołnierzy. Dyabeł przybliżył się ku niemu, a dobrze był ucharakteryzowany, anioł zaś gwałtownie zbudził śpiącego. Przebudzony podniósł głowę i przez chwilę nieruchomo spoglądał na otaczające go postacie. Dyabeł żgnie ku niemu widłami, ten jak nie zerwie się, jak oparzony ku drzwiom skoczył. Dopiero za chwilę przyszedł do siebie.

Wreszcie trójka, z Mikołajem na czele, wynosi się z kwatery. Rozbudzeni żołnierze, przewracając

się z boku na bok, uzerają się wzajemnie, każdy dla siebie miejsce obszerniejsze chce zdobyć.

Z pierwszego piętra dochodzą nas głosy bawiących się wspólnie oficerów garnizonu. Nocą, słysząc silne słowa pieśni żołnierskiej. Znać, że ułani Beliny są, bo piosnkę słyszą:

Jedzie Belina,  
Płacze dziewczyna  
Huzary, huzary, huzary są i t. d.

Leżymy już wszyscy prawie, lecz rozmowa toczy się dalej ożywiona. Oprócz wesółych rzeczy — poważne dyskusje o podkładzie narodowym i przyszłych dniach. Wreszcie po kolei głosy cichną — usypiają żołnierze. Cicho się robi na sali, czasem tylko niektórzy przez sen coś mrukną pod nosem.

Cisza... kwatera śpi. Za oknem miarowy chód żołnierza na warcie, który budynek w koło obchodzi.

\* \* \*

Zgoła odmienne wrażenie sprawiła Bystrzyca, wieś oddalona na północ od Jabłonkowa o jakie siedm kilometrów. Mała wioszczyna, umieściła u siebie podówczas batalon uzupełniający kapitana Galicy, dając żołnierzom wyborną kwaterę. Wokoło w pobliskich wioskach, jak Łomża, Gródek i wielu i innych rozmieszczono szpitale Legionów, których twórcą i duszą był doktor Bobrowski z Podgórza.

Gdy pierwszy raz do Bystrzycy przybył, prowadząc oddział maruderów i nowozaciecznych w Jabłonkowie rekrutów — wieczór był późny, zmęczony udałem się na kwaterę, nie obserwując życia polskiego żołnierza na tych kwaterach.

Ambulatoryum, lekarską salę wizyt i salę dla chorych przybywających, na razie umieszczono w nowo wybudowanym budynku szkolnym, obok którego w małej, otoczonej dokoła sztachetami drewnianej willi umieszczoną była komenda batalionu, z nieocenionym komendantem placu, ob. Gwiżdżem.

Galica, to typ prawdziwego żołnierza polskiego. Wzrostu słusznego, o szerokich barkach, swobodnych ruchach, twarzy cośkolwiek pociągłej, jasnych, troszeczkę kręconych włosach, sumiastych wąsach, błękitnem spojrzeniem — ujmującą był postacią. Choć w tych oczach błękit przebijał, ale błękit stali: dobroci, wytrwałości, sprężystości. Nie poniża on ci żołnierza, rzekłbym, nieraz z prostym szeregowcem przy jednym stole obiadował, przemawiał jak do równego sobie, dłoń ci, jak kleszczami ścisnął, śmiał się do ciebie żartobliwie; ale zwojuj mu co w służbie, nie wypełń rozkazów, nie staraj się być pod nim żołnierzem zręczności i rozumu, biada ci wówczas. Głos jego gniewny ogłuszy cię, skutki przewinienia przed oczami jasno zobaczysz i już myślisz: zgubionym. A on tymczasem, po pierwszym porywie gniewu namyśla się i skazuje cię na karę, jakiej się nie spodziewałeś: byś się poprawił! Przez tę chwilę właśnie, w której się namyśla, sonduje duszę twą: czyś ze złej woli to uczynił, czy nieświadomie. Jeśli to pierwsze — zgubionys jest, nie jego kamiennego wówczas serca nie wzruszy; jeśli to drugie, to cię uderzy w ramię dużą swoją dłoń i serdecznie, jak rodzony brat, ojciec, opiekun rzeknie: — Popraw się człowieku, bo inaczej źle będzie z tobą!

A dwa razy jedno i to samo ci nie powie. Pamięć ma wyborną, nie wykreścisz się, żeś nie wiedział, albo czem innym.

Prawą zaś jego ręką — to adjutant, artysta dramatyczny S. Drugiego takiego jak tenże adjutant ze świecą trzeba szukać. Z ocz jego bije energia, rozum, spryt, dobroć i uczynność. Żali co dobrego chcesz — w oczach tych znajdziesz, naciągać się jednak na serce nie da, bo tak cię świdrują te oczy, że się nie wazysz nawet kłamstwem owijać, aby coś wykołatać.

Podtatrzański gawędziarz, poeta Gwiżdż — to lewica dla kapitana Galicy. „Platzkomendant” jak się żartobliwie śmieje z niego adjutant. Wszystkie biurowe rzeczy przez łapy jego przesłigują się, co chwila kapitana za rękaw tyrpie, aby podpisać taką lub owaką sprawę.

Kolejno wszedłem i ja do wnętrza komendy batalionu. Galica oparty plecami o piec dyktował adjutantowi jakiś rozkaz. Stuknąłem obcasami, aże się skrzywił cośkolwiek Gwiżdż, zdałem raport. Skinieniem ręki przywołał mnie Galica, wysłuchał cierpliwie raportu i prośby, potem palcami odwinął mi kołnierz płaszcza, patrząc na odznakę. Zrobił to tak swobodnie, że zdało mi się, jakby kolega serdeczny poprawił mi źle ułożony kołnierz.

— Cóż ja wam na to poradzę — rzekł w końcu — musicie iść do Jabłonkowa i do swojej kompanii wrócić. U mnie miejsca obsadzone, bez głównej komendy nic uczynić nie mogę.

Jednakże zostałem parę dni w Bystrzycy, a to